

# Zygzakiem.

(Cholera. — Teatr krakowski).

Kilkakrotnie już, w ostatnich lat dziesiątkach, kraj nasz znajdował się pod grozą epidemii, zapisanej złowrogo w pamięci ludności galicyjskiej, a związanej tak blisko z piękną kartą wspomnień c. k. rządu austriackiego i jego „czynów“ w 1846 r. Wówczas to bowiem po krwawych wypadkach, niby boży gniew, szalała groźna zaraza. Od tego czasu wiele się zmieniło. „Nieubłagani“ pojednali się, krzywdy puszczone w niepamięć, pszczono również z kwitkiem za drzwi zaślepiony lud, który uszczęśliwiono wolnością pod egidą c. k. egzekutorów podatkowych i rad powiatowych, do czego dodano kilka kryminałów.

Z tego znówu (nie z kryminału, jeno z wolności) wynika nietylko ta korzyść, że obecnie lud galicyjski objawia ducha pojednania przy każdych wyborach, ponieważ wziął sobie do serca dewizę c. k. namiestnictwa we Lwowie: „z szlachtą polską polski lud“ (przedstawicielem szlachty jest u nas pan starosta), ale także korzyść druga, że p. Leo nauczysz się sztuki aktorskiej w akademii pod „stańczykiem“, uszczęśliwił miasto Kraków i raczył stać prezydentem tego miasta. Z tego zaś wynikło, że mamy obecnie wielki Kraków za rogatkami, sadzawkę na plantacjach, nowego przedsiębiorcę teatralnego p. Solskiego i wiele innych jeszcze korzyści. Śledząc bacznie „przyczynowość biegu wydarzeń kierowanych czujną ręką Opatrzności“, (z wstępnego artykułu „Czasu“ w sprawie ugody polsko-rosyjskiej), musimy przyjąć do przekonania, że między ową starą cholera, a tymi, wyżej wyliczonymi zdarzeniami, zachodzi wyraźny związek, co nas zniewala do ukorzenia się przed tezą — „niema niczego złego — coby na dobre nie wyszło“. Komu zaś owe złe na dobre wyszło, to do rzeczy nie należy.

Widzę, że zaczynam się błąkać w nawale idei. Zamiast pisać o cholery, piszę o autonomii, o p. Solskim, o karierze p. „Lea“ (musiałem wyrazić się w ten sposób, gdyż p. Leo nie ma kilku przypadków, na co nawet „Poradnik językowy“ poradzić nie może), a idąc tak dalej gotówem zejść na tematy zupełnie do programu dzisiejszej kroniki nie należące, np. na zasługi dyrektora Flatau o umoralnieniu ludności „wielkiego Krakowa“ albo na historią o „wielkim rogu“, który, jak wiadomo, z archiwum górniczego w Wieliczce, d stał się „w posiadanie“ barona Rotschyld... Byłyby to zboczenia zbyt wielkie, może mało interesujące, możeby zawarte w nich twierdzenia i hipotezy zakwestyonowano równie stanowczo, jak to uczyniono co do tak zwanego „bezinteresownego programu podniesienia teatru“ p. Solskiego. „Nie chcę i dlatego wolę cierpieć i milczeć“ — jak powiada jeden z polskich poetów, który nie miał szczęścia znać się osobiście z recenzentami, ani być „krewnym“ jednego z członków redakcji „Czasu“ i dlatego umarł w zapomnieniu.

Wracam więc do cholery. Czytelniku, nie lekaj się. Wiem, co w tej chwili pomyślałeś. Mniej więcej tak: „Masz tobie, nie dość, że we wszystkich pismach codziennych całemi szpaltami pakuja w ludzi choleryczne artykuły, nie dość, że telegramami trwożą spokojnych mieszkańców i napędzają im Pietra, jeszcze i tu, w piśmie, do rozrywki, do zapomnienia o codziennych troskach przeznaczonem, muszę się spotkać z taką samą gadaniną“. — Otóż proszę o cierpliwość, kochany czytelniku. Nie trzeba się dać unosić nerwom, z czego niepokój i złe trawienie. Czyż nie widzisz, jakie bujne owoce wydaje cierpliwość? Spójrz na p. Michała Chylińskiego, byłego suplenta gimnazjalnego, byłego administratora „Czasu“, potem tego pisma redaktora, potem prezesa zjazdów słowiańskich dziennikarzy, potem wiceprezenta miasta Krakowa, no, a teraz wicedyrektora kasy oszczędności. Co to znaczy cierpliwość, milczenie i wytrwałość, a mądre myślenie cudzymi myślami..

Tak więc i Ty czytelniku kochany bądź cierpliwy, bo o tej cholery powiem ci zupełnie coś nowego.

Jeżeli jesteś nie dzisiaj, to na podstawie własnego doświadczenia przyznasz mi, że może przy żadnej sposobności tak jaskrawo nie ujawnia się w naszym kraju, brak ładu, rozsądku, szczerości w pracy, jak przy działaniu, mającem niby na celu zapobieganie zarazie. Bładze i łgarstwo niema końca, bo jest sposób do popisania się w różny sposób, a nade wszystko sposobność do pobierania dyet za komisje sanitarne, za sprawozdania, posiedzenia, pouczenia i t. d. Zobaczymy w budżecie miasta i kraju, ile to wszystko koszt-

wało i jeżeli porównamy rozmiary tego pustego wrzasku z tem, co przez to osiągnięto, przyjdziemy do przekonania, że widmo zarazy dlatego nas omiło, bo zaraza nie przyszła do kraju...

Zamiast po prostu najkrótszymi drogami wziąć się do zabezpieczenia ludności, trąbi się o działaniu, o pracy różnych „miarodajnych czynników“, a wszystkie zarządzenia zamieniają się w praktyce przeważnie na szykanę biednej ludności, a na prowincyi, jak uczy doświadczenie, są nawet po wsiach środkiem nękania źle widzianych w c. k. starostwie agitatorów politycznych.

Ktoby się chciał przekonać o prawdziwości moich zapatrywań, niechaj zbierze komisję, nie magistracką, ale z grona wolnych obywateli i niechaj ta komisja, obejdzie np. realności pp. radców miejskich w Krakowie i zajrzy, co się tam po podwórzach dzieje. Niechaj ta komisja wyjrzy za rogatkę warszawską i skonstatuje, co zrobiono, aby ów sławny kanał cmentarny zdesyntyfikować, niech zajrzy wreszcie do mieszkań biednych stróżów i dowie się, co uczyniono, aby zapobiedz straszny warunek egzystencji, w jakich przeważnie żyją, a przez to usunąć wielkie niebezpieczeństwo zaraźliwych chorób...

Akcja zapobiegawcza nie wymaga wcale, aby p. protomedyk tłukł się po kraju za wysokimi dyetami. Każdy lekarz okręgowy będzie umiał i wiedział, co czynić, by ustrzedz swój okręg przed zarazą, byleby mu dano do dyspozycji odpowiednie środki.

Ale w naszej Galicyi, kraju wielkiej polityki i wielkiej, a zawsze patryotycznej — blagi, inaczej być nie może. Najpierw wszak, reklama, obietnice, a potem rozdrapywanie zasług za to, co się stało bez niczyjego przyczynienia.

Ostatnie zdanie przerzuca mnie do drugiej części tematu dzisiejszej pogadanki o krakowskim teatrze. Jest to również typowo galicyjska sprawa. Gdzieindziej, na świecie, do konkursu na posadę dyrektora, a właściwie przedsiębiorcy teatru, stają ludzie jawnie, otwarcie, z podniesionem czołem, słowem, choć używają ubocznych wpływów, przecież jest w tem wszystkim jakaś kulturalna forma, jakaś przyzwoitość. W Krakowie musiało być inaczej... Najpierw na parę lat przed ustąpieniem Kotarbińskich, p. Solski, nie zdradzając się z planem objęcia teatru krakowskiego, „bożkiem“ chodził po krakowskiej prasie, nauczony wydatnem doświadczeniem, zebranem w tym kierunku zarówno we Lwowie, jak w Warszawie, podczas występów „swojej żony“. Potem poszedł do p. Andrzeja Potockiego, namiestnika, a p. namiestnik polecił znowu autonomicznie prezydentowi panu Leo — (straszna rzecz z tą odmianą) aby przy „wolnym wyborze“ przeforsował za każdą cenę Solskiego, który nietylko obiecuje podnieść teatr na „wyżyny“, ale także wie od Mikuckiego, że na teatrze krakowskim robi się pieniądze.

P. Leo, zwyczajny do krętych dróg, urządził znowu komedię wielce wstępną, aby uczynić zażość woli c. k. namiestnika, a nie dopuścić do objęcia teatru poważnego i przez ogół popieranego kandydata Wyspiańskiego. Do tego celu prowadziło wysunięcie p. Bandrowskiego, jako kandydata i wszystkie dalsze kompromitacje p. Lea. Założyłbym się, że był to pomysł Solskiego, bo Ludwiś jest „spryciarz“ i jak się to mówi... jamnik.

Dostał nareszcie p. Solski krakowski teatr, poczynił daleko idące obietnice, z których sam w kułak się śmiał, przybrał pozę i zaczął... od rozbicia teatru ludowego, jako niebezpiecznego dla siebie konkurenta. Rozbicia tego dokonał w ten sposób, że licząc na uczucie ambicji młodych aktorów, którym musi pochlebiać należenie do składu personelu miejskiego teatru, „zaangażował ich“ płacąc im po 60 koron miesięcznie gaży, a niektórym nie płacąc nic, tylko po cztery korony od występu. Cel został osiągnięty, kilka najlepszych sił teatru ludowego sprytny p. Solski w ten sposób związał i istotnie utrudnił przez to niesłychanie stworzenie teatru ludowego, tak potrzebnego, a nawet koniecznego w Krakowie.

To byłoby jednak za mało, p. Solski ubił przy tem drugą muchę. Pozbył się kilku sił wybitnych, które kosztowały drożej, a nabył na razie mierne, za tanie pieniądze. A potem w imię wielkich aspiracji artystycznych, w imię idei podniesienia teatru pod hasłem naprawienia tego, co było złe za Kotarbińskich, którzy „zbijali pieniądze“ — p. Solski poobsadzał odpowiedzialne role początkującymi aktorzykami za gażą od 60 do 160 kor. i taką szkołę dramatyczną narzuca publiczności krakowskiej, która przecie zna się na teatrze, i jest na tyle naiwnym, iż sądzi, że publiczność ta uwierzy, z jednej strony, w wysoki poziom ar-

tystyczny tego teatru, z drugiej zaś, artystyczną bezinteresowność p. Solskiego. Jestem przekonany, że publiczność sama, przeczytawszy te słowa, zdumie, widząc wypisane wszystko to, co sama już spostrzegła. Prasa nasza bowiem w Krakowie, prócz sprawozdawcy „Naprzodu“, który zachowuje zawsze niezależność, jest do dostania różnemi sposobami, a najlepszym tego dowodem ekliwe i wprost abominacyjne budzące hymny „recenzentów“ na cześć nowej dyrekcyi, hymny równie śmieszne, jak przesadna reklama dla p. Solskiej, reklama, wywołująca wprost przeciwny skutek.

Mając szkołę, zabrał się oczywiście p. Solski do roboty, jak prawdziwy przedsiębiorca. Zmieniwszy obsadę starych ról, zwykle na gorszą niż dawniej, wytrzymuje aktorów na próbach od 9 rano do 4 i 5-ej po południu, bo „kuje“ podczas prób role z „kołkami“ po 60 koron. Wyrzuciwszy na bruk aktora użytecznego, ojca trojga dzieci, pana Senowskiego, który doskonale uczył chórów i śpiewów podczas prób porannych, wziął na jego miejsce jakiegoś urzędniczynek, który jednak może przychodzić na próbę tylko o 5 wieczór — aktorzy więc, którzy mają to nieszczerście należenie do chórów, muszą jeszcze po całodziennym próbie ze sztuki, iść na próbę śpiewu o 5-ej, a potem grać wieczór w przedstawieniu. Gdy się jeszcze doda do tego nową oszczędność w formie zniesienia skromnego wynagrodzenia za przedstawienia popołudniowe, ujawni się odrazu wysoki poziom „idei artystycznych“, na którym stoi nowy przedsiębiorca, mający „poprawić“ teatr po Kotarbińskich.

Nie dziw, że publiczność sarka, nie dziw, że wśród personelu teatralnego zapanowało zniechęcenie, że kilka osób już odeszło, a o ile nam wiadomo, wkrótce ma odejść jeszcze kilka sił wybitniejszych, nie mówiąc już o przyszłym sezonie. Zostanie wtedy pan Solski w otoczeniu takich artystów, jak jedyną z nowozaangażowanych ze Lwowa za gażą 60 koron miesięcznie.

Słowem jest złe, a zaznaczając całe uznanie, jakie mamy dla p. Solskiego jako artysty, chcielibyśmy przestrzedz go przed zbyt skwapliwym robieniem interesu kosztem publiczności i wartości teatru. Pan Solski, nie śpiesząc się, także się gorsza dorobi i nikt mu tego za złe nie weźmie — ale radzimy struny nie przeciągać, tembardziej gdy faktycznie po odejściu Mrozowskiej, Mielewskiej, Rutkowskiej, Konarskiej i wielu młodych teatr dziś jest słabszy, znacznie słabszy, niż za Kotarbińskich. *Vide.*

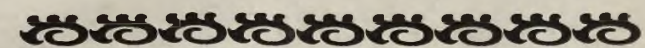
## Jadwiga Kościukówna.

(Do portretu).

Przed pięciu laty, w ostatnich tygodniach istnienia we Lwowie sceny Skarbkowskiej, ogłosiły afisze teatralne debiut nieznannej dotychczas artystki, p. Jadwigi Kościukówny, w jednoaktowej sztuce Cope'ego p. t. „Przechodzień“. Debiut ów, choć przyjęty na ogół dość życzliwie, przeszedł jednak bez większego wrażenia. P. Kościukówna do teatru lwowskiego zaangażowaną nie została, wystąpiła tylko kilkakrotnie w teatrze ludowym miłośników sceny, poczem znikła ze Lwowa.

Dopiero przed kilkunastu dniami ujrzeliśmy jej nazwisko znów na afiszach teatralnych, zapowiadających jej debiut w nowej sztuce Zalewskiego „Mloch“. Rolę tam miała debiutantka nie duża, a jednak potrafiła wykazać w niej zupełnie już rozwinięty talent, doskonałe warunki zewnętrzne, temperament, głos bardzo silny, miękki a dźwięczny i miły. Występ ten był też dowodem, że p. Kościukówna cały okres między pierwszym debiutem na scenie Skarbkowskiej a debiutem w „Mlochu“ spędziła na sumiennej pracy, że dzięki temu z początkującej debiutantki wyrobiła się na pierwszorzędną artystkę.

Szkółą, w której p. Kościukówna talent swój wykształciła, był teatr polski w Sosnowcu, pod dyktando Felińskiego. Zaangażowana tam przed trzema laty, grała naprzód role mniejsze, następnie zaś objęła role kokot oraz dramatyczne, do czego usposabia ją piękna, okazała postawa i głos wspinały. We Lwowie obejmie również ten dział repertuaru.



Ciekawą, ale najzupełniej udowodnioną jest rzeczą, że ilekroć jakiś jakaś oświadcza swemu ideałowi miłość, zawsze zapewnia ją przytem, że kocha ją „niewymownie“.